



■ Nowa Zelandia jest niezwykle piękna i malownicza. Tak wygląda zatoka przy Port Fitzroy. Aż się nie chce płynąć dalej

w tym bardzo wymagającym rejonie żeglarskim. Cieśnina Cooka tworzy naturalny komin dla północno-zachodnich wiatrów, które spotykając się z silnym przeciwnym prądem, tworzą jeden z najgorszych, krótkich odcinków morskich na świecie.

Choć prognoza była niezbyt korzystna: silny wiatr 35 w i „very rough sea”, niestety, nie możemy czekać.

Wiatr z kierunku SE do 30 w powoduje, że do Cieśniny Cooka płyniemy tylko na silniku. Szerokim łukiem omijamy Barret Reef i po chwili bardzo rozbudowane zafalowanie daje nam odczuć, że już jesteśmy w Cieśninie Cooka.

Nasz stormowym kliwrze i na drugim refie na grocie płyniemy z prędkością do 9 węzłów.

Ciężkie warunki powodują, że nasza skromna załoga, jeszcze niezahartowana, ciężko odchorowuje te pierwsze godziny żeglugi po Nowej Zelandii.

O 2100 wchodzimy do kanału Tora. Ze względu na bardzo wąskie przejście każdy statek ma obowiązek na 10 minut wcześniej zgłosić na 19 kanale VHF zamiar przejścia tej morskiej bramki.

Minięcie się dwóch statków jest tu praktycznie niemożliwe. Jeśli już ktoś przed nami jest w przejściu, to należy grzecznie poczekać na swoją kolejkę.

Widoczność jest bardzo kiepska, wieje mocny wiatr, ale dzięki doskonałemu oznakowaniu nawigacyjnemu i dobrym mapom trafiamy bezbłędnie w środek tego bardzo wąskiego przesmyku. Przy południowo-wschodnich szkwałach dochodzących do 40 w wpadamy na zarefowanym grocie do kanału Tora. Na wszelki wypadek silnik trzymamy cały czas na wolnych obrotach. Zaraz po przejściu „bramki” robimy ostry zwrot w lewo i już jesteśmy w środku kanału Tora. Cóż za ulga... Jazda po rozszalałym morzu zamienia się w spokojne jeziorne pływanie. Ale zmienne porywy wiatru, w szkwałach dochodzące do 50 w, oraz duży ruch statków, przy bardzo słabej widoczności w ulewnym deszczu, powodują, że musimy być w pełni skoncentrowani.

RZUCAMY CUMY W PICTON

Po trzech godzinach żeglugi dostrzegamy światła Picton. Jeszcze tylko trzeba zacumować w bardzo mocnych szkwałach przy słabo oświetlonej kei. To dodatkowe wrażenia na koniec pierwszego etapu naszej nowozelandzkiej eskapady. W końcu jednak możemy się rozgrzać mocną herbatką. Przez 8 godzin zrobiliśmy prawie 50 mil, w tym praktycznie całość pod żaglami. Jak na naszą ciężką jednostkę to całkiem dobry wynik!

Rankiem wspaniałym widok na Marlborough Sound i gorąca kawa w pełni wynagrodziły załozę trudy wczorajszej żeglugi. W Picton na barce-muzeum o nazwie „Echo”, która jest jednym z najstarszych zachowanych żaglowców z pomocniczym napędem parowym, zostawiamy nasz rejsowy proporczyk, który przez gospodarzy został umieszczony na honorowym miejscu na ścianie z pamiątkami. Jesteśmy na pewno jednym z niewielu (miejscowi Kiwi twierdzą, że w ogóle pierwszym) polskich jachtów, które zawinęły do tego portu na drugim końcu świata.

Rano 5 grudnia wychodzimy z Picton, które słynie z tego, że jest tutaj najwięcej słonecznych godzin w Nowej Zelandii (około 2000 godzin rocznie). Nam też słońce w sobotę pięknie zaświeciło. Płyniemy do zatoki Ship Cave, zobaczyć pomnik Cooka, a potem na Motouara Island do rezerwatu ptaków. Nadal jest rześko, ale niesamowicie odgłosy śpiewu ptaków wywabiają wszystkich na pokład. Temperatura nie przekracza 16 °C, ale prognozę na Cieśninę Cooka mamy korzystną: wiatr do 20 w z NW.

Tym razem Neptun (oby dalej był tak łaskawy) wynagrodził nam w pełni nasz wcześniejszy pośpiech. W pięknym słońcu, z prądem, pod baksztagową szóstką robimy chwilami 13 w. Oczywiście to prędkość